

# Z kolan na głowę

Sławomir Popowski

---

**W dniach kryzysu gruzińskiego jeden z moskiewskich publicystów napisał ironicznie, że „pierwszy punkt programu Putina został zrealizowany: Rosja podniosła się z kolan. Teraz pora na punkt drugi – trzeba rzucić na kolana innych”. Niestety, wielu Rosjan tak właśnie rozumie hasło odbudowy Rosji.**

---

Tyle razy słyszałem w Moskwie: „Jesteśmy odrębnym centrum siły, tworzymy własną cywilizację. Koniec z zachodnimi pouczeniami. Stać nas na własny model »suwerennej demokracji«, zgodnej z rosyjskimi tradycjami. Możemy być partnerem Zachodu, ale na naszych warunkach, i nigdy jego częścią. I proszę nas nie oskarżać o chęć odbudowy imperium. Po prostu bronimy swoich interesów narodowych”. Zresztą, jak dodają inni, Rosja może przetrwać tylko jako imperium. Inaczej rozpadnie się na kawałki.

Podobne opinie można uznać za rezultat odreagowywania chaosu epoki Jelcyna, porównywanej najczęściej z czasami XVII-wiecznej „wielkiej smuty”. Władimir Putin wykorzystał te nastroje, oferując Rosjanom transakcję: poczucie stabilności, bezpieczeństwa i program odbudowy Wielkiej Rosji w zamian za rezygnację z demokratycznych iluzji zrodzonych w okresie demontażu systemu sowieckiego i ZSRR.

Nie musiał długo przekonywać. Pomogła mu zakorzeniona wśród Rosjan wiara (zwłaszcza w okresach kryzysowych) w skuteczność rządów „twardej ręki”, a także w dobrego i sprawiedliwego „batuszkę cara”, wreszcie coraz lepsza koniunktura na rynkach naftowych i coraz szerszy strumień petrodolarów płynący do Rosji.

To prawda: Putin przejął po Jelcynie państwo w złym stanie (choć po krachu finansowym 1998 roku przynajmniej w gospodarce można było zaobserwować poprawę). Administracja prawie nie funkcjonowała, państwo nie było w stanie wywiązać się ze zobowiązań wobec obywateli, o korupcji i przestępczości lepiej nie wspominać.

Do tego Kremlom rządziły zwalczające się klany (i przede wszystkim „rodzina” Borysa Jelcyna – najbliższe otoczenie prezydenta) oraz oligarchowie, którzy wcześniej przejęli smakowite kawałki gospodarki. Nie lepiej było na prowincjach, gdzie prezydenci republik i gubernatorzy obwodów stali się władcami nieomal udzielnych księstw.

## Nie ma Rosji poza Kremlem

Putin – choć zajęło mu to trochę czasu, przynajmniej pierwszą kadencję jego prezydentury – poradził sobie z tymi problemami. Jego atutem było poparcie społeczne, a także przyzwolenie elit zainteresowanych stabilizacją i – jak pisze Andriej Riabow, jeden z czołowych moskiewskich politologów, w wydanej przez Centrum Carnegie

**Prowadzona w atmosferze wielkiego patriotycznego przebudzenia wojna kaukaska nie tylko była plastrzem na zbołąą duszę rosyjskich obywateli, ale także służyła zjednoczeniu elity władzy.**

książce *Samobytnost' zamiast modernizacji* – „optymalizacja” systemu stworzonego w latach dziewięćdziesiątych.

I to się udało. Kolejne jego reformy ustrojowe – poczynając od tej pierwszej, ogłoszonej już kilka miesięcy po objęciu w 2000 roku prezydentury i wprowadzającej instytucję okręgów federalnych i pełnomocnych przedstawicieli prezydenta, poprzez reformę Rady Federacji i Rady Bezpieczeństwa, a skończywszy na ostatnich, znoszących zasadę wybieralności gubernatorów oraz zmieniających reguły ordynacji wyborczej – zmierzały do jednego: odbudowy silnej władzy centralnej.

Obowiązywała zasada: w nowym systemie politycznym nie ma miejsca dla żadnej instytucji autonomicznej wobec państwa, czyli Kremla. W rezultacie, skądinąd słusznie, dawni regionalni liderzy zostali „sprowadzeni do parteru” i wmontowani w budowaną przez Putina „piramidę władzy”. Później wyeliminowano oligarchów, skutecznie postraszonych atakiem na Władimira Gusińskiego i Borysa Bierzewskiego, a następnie rozprawą z Michaiłem Chodorkowskim. W międzyczasie przejęto media, a po kolejnych intrygach i manipulacjach doprowadzono do wymarzonej sytuacji, w której bezwzględna większość w Dumie Państwowej ma jedna partia – partia władzy. Parlament, jak w czasach sowieckich, stał się maszynką do głosowania.

W tym systemie – nazywanym przez jednych „demokracją suwerenną”, a przez innych „sterowaną” – liczy się tylko prezydent i krąg zaufanych współpracowników, tworzących coś w rodzaju nowego Biura Politycznego. To system, który ma więcej wspólnego z klasycznym modelem rosyjskiego samodzierżawia niż z prawdziwą demokracją, choć zachowuje pozory wybieralności. W rzeczywistości, zdaniem Lili Szewcowej z Centrum Carnegie, obecny model jest jedynie sposobem na realizację interesów rządzącej korporacji lub – jak kto woli – biurokracji. Na pytanie o trwałość tego systemu Szewcowa odpowiada: wysokie ceny na ropę naftową czy pewien konsensus istniejący dotychczas w szeregach rządzącej elity – wszystko to teoretycznie ułatwia zadanie, ale w każdej chwili może obrócić się przeciwko niemu i poddać ciężkiej próbie same fundamenty systemu. Wystarczy, że ceny ropy zaczną spadać...

## Konflikt jako impuls

Pierwszą próbę – i kto wie, czy nie najważniejszą – system ten właśnie przechodzi. Jest to próba dwuwładzy. Wpisuje się w nią również wojna w Gruzji. Putin mógł bez problemów, zupełnie legalnie i demokratycznie, przeprowadzić referendum, zmienić konstytucję i zostać na trzecią kadencję, a nawet być dożywotnim prezydentem. A jednak zdecydował się na przeprowadzenie „operacji następcy”.

Zdaniem moskiewskich komentatorów, tak naprawdę nie chodziło ani o Putina, ani o Miedwiediewa, ani tym bardziej o obawy przed opinią Zachodu. W sytuacji, gdy system zaczął zdradzać oznaki wyczerpania, gdy zaczęły pojawiać się na nim pierwsze rysy, najważniejszym zadaniem stało się zapewnienie stabilizacji władzy rządzącej elity oraz nieodwracalności dokonanej w ostatnich latach redystrybucji własności, a warunkiem tego było nadanie systemowi nowych impulsów rozwojowych.

W rezultacie wybrano jednak model, który – niezależnie od deklaracji o wzajemnej lojalności nowego gospodarza Kremla i byłego prezydenta, a dziś premiera i nadal faktycznego „lidera narodowego” – grozi powstaniem układu dwuwładzy, co może wyrzucić cały system do góry nogami. Rosjanie są świadomi tego zagrożenia. Z tego punktu widzenia wojna kaukaska, prowadzona w atmosferze wielkiego, patriotycznego pobudzenia, była nie tylko plastrem na zbolale dusze rosyjskich obywateli, ale także służyła konsolidacji elity władzy.

Kto więc naprawdę rządzi teraz Rosją? Putin? Oczywiście. A Miedwiediew? Jego pozycja jest słabsza, ale nie jest on też marionetką. Na pewno rządzi elita, na której opiera się Kreml. Zdaniem Igora Kliamkina z Fundacji Liberalna Misja, w pierwszych latach po rozpadzie ZSRR u władzy znajdowała się grupa wychodźców z dawnej partyjno-sowieckiej nomenklatury, którzy musieli zmienić swoje przekonania ideowe. Ta grupa zesza już ze sceny, a jej miejsce zajęło nowe pokolenie, wręcz demonstracyjnie podkreślające swój „uniwersalny pragmatyzm”, a jednocześnie przywiązane do tradycyjnych wartości i przekonań, takich jak idea wielkomocarstwowości Rosji. Państwo, realizując tę ideę, musi stanąć do rywalizacji z resztą świata.

Głównymi zwolennikami tego rodzaju „antyideologicznej” ideologii – uważa Kliamkin – są kadry wywodzące się ze służb i struktur siłowych, które w burzliwym okresie *pierestrojki* i gorączki pierwszych lat epoki jelcynowskich reform zostały najmniej dotknięte przemianami. Teraz natomiast przeniosły do polityki zawodowe nawyki: styl „operacji specjalnych”, agentury, maski ukrywające prawdziwe oblicze, łatwość stosowania rozwiązań siłowych itp. Większość z nich przyszła do polityki i awansowała razem z pułkownikiem KGB Władimirem Putinem, i jest to grupa liczna, skoro – jak wyliczyła socjolog Olga Krysztanowskaja, autorka głośnej książki *Anatomia rosyjskiej elity* – około 70 procent najwyższych stanowisk w państwie zajmują ludzie wywodzący się ze struktur siłowych, w tym ze służb specjalnych.

To jednak nie cała rosyjska „klasa polityczna”. Silne i coraz silniejsze są również wewnętrzne pęknięcia powodowane rywalizacją o wpływy i podział „petrodolarowego” bogactwa. Ważne jest co innego: wokół Kremla – i w ogóle władzy państwowej – ukształtowała się nowa elita władzy, nowa biurokracja, i jest to już klasa zamknięta. To warstwa, która, według Szewcowej, chce żyć jak na Zachodzie, jeździć do alpejskich kurortów i kupować rezydencje w Londynie czy na Lazurowym Wybrzeżu, a jednocześnie usiłuje konsolidować wokół siebie resztę rosyjskiego społeczeństwa, odwołując się do retoryki jakiegoś „nowego”, „zdrowego patriotyzmu”, obrony narodowych interesów czy właśnie „Rosji podnoszącej się z kolan i poniżenia”.

## Zimna wojna? Może być też gorąca

To właśnie taka polityka zwyciężyła w dniach konfliktu na Kaukazie, który w istocie dał początek budowie zupełnie nowej Rosji. Aleksander Dugin, rosyjski specjalista od geopolityki, w wywiadzie dla „Europy” (dodatku „Dziennika”) powiedział: „Udowodniliśmy, że mamy NATO gdzieś i się go nie boimy. Posiadamy broń jądrową i jesteśmy gotowi jej użyć. Rosja przekroczyła granicę, za którą już się nie cofnie. Jest to kurs na odrodzenie rosyjskiej suwerenności i pozycji regionalnego mocarstwa – w praktyce, a nie tylko w słowach”.

Dugin porównuje sytuację Rosji do Niemiec po traktacie wersalskim: „Niemcom narzucono jego rozwiązanie i Niemcy się zbuntowały. To samo jest z Rosją. Po zakończeniu zimnej wojny Zachód chciał ją upokorzyć i teraz to się skończyło. Rosja ma już wolne ręce i może robić co chce, a przede wszystkim realizować swoje interesy narodowe, nie oglądając się na innych. A Rosjanie chcą już tylko jednego: rewanzu. I wcześniej czy później on nastąpi. Jeśli Zachód tego nie zrozumie, to powtórzy się scenariusz niemiecki z 1933 roku”.

W podobny sposób i w równie groźnych słowach wypowiada się inny kremłowski ekspert, Gleb Pawłowski, którego wywiad dla tygodnika „Itogi” można streścić następująco: Rosja jest zdecydowana na wszystko. Błąd Zachodu polegał na zlekceważeniu sytuacji, jaka wynikła po rozpadzie ZSRR. Zachód upokarzał Rosję, a powinien był jej pomóc w odbudowie pozycji mocarstwa. W rzeczywistości Zachód jest rasistowski wobec Rosji. Nie lubią nas na Zachodzie za to, że jesteśmy, za to, że stworzymy własną rosyjską cywilizację i teraz musimy jej bronić przed agresją Zachodu. To nie musi być nowa zimna wojna. Może być i gorąca. I nie trzeba się jej bać, bo lepiej nazywać rzeczy po imieniu.

Odnotujmy wreszcie słowa Dmitrija Rogozina, oficjalnego przedstawiciela Rosji przy NATO. Jego zdaniem, aby powstrzymać antyrosyjską ofensywę Zachodu – której przejawem jest budowa tarczy antyrakietowej w Czechach i w Polsce – wystarczy zbombardować czeski radar, a cały system oślepnie. „NATO – dowodzi Rogo-

zin, cytowany na portalu Gazeta.ru – to jedynie klub dżentelmenów, reagujących złością na rosnące wpływy Rosji w Europie”.

Wypowiedzi te można uznać za retorykę, ale taką politykę popiera 76 procent Rosjan. Nawet część elit liberalnych zapomina o swym liberalizmie, gdy tylko zaczyna się mowa o rosyjskich interesach, mocarstwowości, strefach „uprzywilejowanych interesów” itp. Niejeden rosyjski liberał nie potrafi zrozumieć, że Ukraina nie jest częścią Rosji.

Dlatego wojna z Gruzją stała się punktem zwrotnym. Moskwa poczuła się silna i dokonała redefinicji swej polityki zagranicznej. Z pełnym wyrachowaniem podjęła działania militarne poza swoimi granicami i z takim samym wyrachowaniem, wręcz prowokacyjnie, oficjalnie uznała niepodległość Osetii Południowej i Abchazji, odcinając sobie tym samym drogę politycznego odwrotu.

Ważne jest też co innego. Od czasów *pierestrojki*, przez całe lata dziewięćdziesiąte i nawet podczas obu kadencji Putina, Rosja zwracała uwagę na reakcje Zachodu. Teraz rzuciła mu wyzwanie i uczyniła z tego jeden z kanonów polityki i wręcz ideologii państwowej. Wypowiedzi Dugina, Pawłowskiego i Rogozina są tego przykładem.

To niebezpieczna polityka. Rosja zakwestionowała obowiązujące dotąd reguły gry. Wystąpiła przeciwko zasadom porządku międzynarodowego i przekonała się, jak kruchy jest to system, co będzie próbowała wykorzystać. Gra toczy się o znacznie większą stawkę niż Gruzja i już nie tylko z Ameryką, ale w ogóle z całym Zachodem.

**Wojna z Gruzją była ostatnim akordem procesu formułowania antyzachodniego wektora rosyjskiej polityki jako sposobu na konsolidację systemu politycznego stworzonego przez Putina.**

## Reszta się nie liczy

Jednym z krytyków takiej polityki (prawda, że dość nielicznych) jest cytowana już Lilia Szewcowa. Ona również uważa, że 7 sierpnia skończyła się cała epoka. Po przerwaniu działań wojennych wszyscy na pozór cofnęli się o krok, ale są rzeczy nieodwracalne i – zdaniem Szewcowej – powrót do dotychczasowej formuły partnerstwa między Rosją i Zachodem jest już niemożliwy. To właśnie Rosja spowodowała sytuację, w której Zachód jednoczy się, by opracować strategię przeciwstawienia się jej. Co więcej, już nie tylko rosyjska władza, ale całe społeczeństwo uważane jest za nieobliczalne.

W ten sposób – i tu wracamy do polityki wewnętrznej – wojna z Gruzją stała się ostatnim akordem trwającego od pewnego czasu procesu formułowania antyzachodniego wektora rosyjskiej polityki jako sposobu na ostateczną konsolidację systemu politycznego stworzonego przez Putina.

„Nie nauczywszy się żyć w warunkach konkurencji – pisze Szewcowa w moskiewskim dzienniku »Wiedomosti« w artykule *Koniec epoki. Antyteza Gorbaczowa* – Rosja wróciła do swojej starej matrycy: kontroli państwa nad gospodarką i społeczeństwem oraz antyzachodniego programu politycznego jako instrumentu służącego mobilizacji społeczeństwa i konsolidacji własnej władzy”. Takie państwo – twierdzi Szewcowa – może przetrwać wyłącznie jako imperium i jako takie musi odwoływać się do stereotypu Rosji-obłożonej twierdzy. Bo tylko w ten sposób rządzący mogą legitymizować swoje istnienie. Obowiązuje więc zasada: rewanż na zewnątrz – konserwacja *status quo* w kraju.

Szewcowa pisze: „Miedwiediew założył putinowski szynel, stał się wojennym prezydentem i – upozowany na liberała – zamknął epokę zapoczątkowaną przez Gorbaczowa. W istocie stał się jego antytezą, grzebiąc nadzieje na integrację ze światem liberalnym i liberalną cywilizacją”. To mina założona pod Rosją i pod całym obszarem postsowieckim oraz jego granicami.

Co będzie dalej? W rosyjskiej elicie ścierają się obecnie dwie tendencje. „Jastrzębie” chcą „zimnej wojny” i próbują oswoić społeczeństwo z myślą o „gorącej”. Z kolei „umiarkowani” chcą powrotu do sytuacji sprzed wojny, aby dalej robić interesy z Zachodem, ale stawiają warunek: Zachód nie może mieszać się w wewnętrzne sprawy Rosji i musi pogodzić się z rosyjską strefą wpływów. Tyle że i Zachód stracił już zaufanie do Rosji...

W rzeczywistości – jak uważa Igor Kliamkin – za tego rodzaju narodowo-patriotycznymi hasłami kryje się tylko dążenie do utrzymania i umocnienia własnej władzy. Reszta się nie liczy. Modernizacja, nowe reformy, tak potrzebne Rosji – to wszystko zeszło na dalszy plan.

Może się więc okazać, że Rosja, podnosząc się z kolan, stanęła na głowie. ♣